

Zachwył nad bogaczami to kapitalistyczny zabobon

3 lutego 2020

Łukasz Warzecha napisał ostatnio tekst, w którym tłumaczy, dlaczego on, samozwańczy liberał, popiera wydawanie publicznych pieniędzy na utrzymanie monarchów. Na pierwszy rzut oka wydaje się to dziwne, wszak w Polsce liberała najlepiej poznać po tym, jak bardzo narzeka na wydawanie pieniędzy z budżetu państwa na jakąkolwiek pomoc. Wiecie, „nic nie ma za darmo”, „każdy sam musi sobie zapracować” i tym podobne formułki.

Wydawałoby się, że członkowie rodziny królewskiej, którzy mają ogromne przywileje i pieniądze, są wzorcowym przykładem ludzi „dostających coś za darmo”, za sam fakt należenia do określonej linii rodowej. A jednak polscy liberałowie nie kwapią się do ich krytyki, wolą pomstować na propozycję podwyższenia emerytur czy płacy minimalnej. Część z nich, jak wspomniany Warzecha, wręcz wychwala instytucję monarchii. O co chodzi?

Publicysta „Do Rzeczy” pisze, że docenia monarchię, ponieważ ta „pełni rolę stabilizującą”, zapewniając państwu mocniejsze podstawy. Są ludzie, którzy twierdzą – ba, mają nawet na to badania i statystyki – że aktywne zmniejszanie nierówności, inwestowanie w edukację, pracowników czy służbę zdrowia też może „pełnić rolę stabilizującą”. Zaryzykowałbym tezę, że takie inwestycje robią to znacznie lepiej niż sponsorowanie monarchów. Ale kiedy słyszę, że ktoś przedstawia się jako liberał, to prędzej spodziewam się po nim zachwytów nad monarchiami, ewentualnie nad ludźmi o „szlachetnym pochodzeniu” (przypomnijcie sobie ekscytację „genami Kidawy-Błońskiej”) niż propozycji zwiększenia inwestycji publicznych w dobra wspólne. Dlatego nie bardzo kupuje tę opowieść o „roli stabilizującej”.

Moim zdaniem istnieje lepsze wyjaśnienie. Jest nim zachwyt nad osobami, które mają władzę i pieniądze. Ludźmi, których można ubóstwiać i wynosić ponad „motłoch”. Przez wiele lat taką rolę odgrywali monarchowie, dziś coraz rzadziej, a ich miejsce zajęli bogaci biznesmeni i szefowie korporacyjni. Dlatego też ludzie, którzy tak jak Warzecha lubią określać się mianem „liberałów”, gdy akurat nie są zajęci wychwalaniem monarchii, to angażują się całym sercem w obronę systemu, w którym ci biznesmeni znajdują się na górze hierarchii społecznej.

To jest szerszy trend kulturowy: podziwiamy bogatych biznesmenów, utożsamiamy się z nimi, bronimy ich do utraty tchu przed podatkami i pragniemy być tacy jak oni. Stąd popularność wszelkiego rodzaju poradników z serii „Bądź jak Bezos/Jobs/Trump”. Spójrzcie jak wypowiada się autor książki „Umysł miliarderów” w wywiadzie dla „Forbesa”: „Miliarderzy to ludzie, którzy prowadzą armie pracowników na różnych szczeblach odpowiedzialności. Bardzo łatwo jest odpaść na którymś szczeblu i nie dotrzeć do miliarderów”. To wspinanie się po szczeblach, aby spotkać na samej górze miliarderów i choć na chwilę dotknąć jego boskich szat, ma wyraźny posmak religijny. Nie jesteśmy wcale tak daleko od popularnych kiedyś panegiryków, w których wychwalano ponad wszelki rozsądek królów i innych władców.

W jednym i drugim przypadku, królów i bogatych biznesmenów, mamy do czynienia z zabobonem, a dokładniej z ideologią, której podstawową funkcją jest utrzymanie ściśle hierarchicznej struktury społecznej. Trafnie opisują to Peter Bloom i Carl Rhodes, badacze społeczni, w książce „Świat według prezesów”: „Dawno już zauważono, że zaufanie pokładane w wolnym rynku ma charakter nie tylko naukowy, ale także (a może przede wszystkim) religijny. Opiera się ono na przywiązaniu do dogmatycznej wizji człowieka i świata; na czymś, co ekonomista Joseph Stiglitz nazywa wszechobecnym „fundamentalizmem rynkowym”. Prawdopodobnie ten pierwiastek religijny jest jeszcze silniejszy w hiperkapitalizmie.

Reprezentuje on niebiański porządek rzeczy, w którym prezesi są wszystkowiedzącymi, potężnymi, świeckimi bogami, odbierającymi należną cześć od mniej utalentowanych, ale oddanych wiernych. Taka idealizacja utwierdza prawomocność współczesnego, boskiego uniwersum kapitalistycznego i służy do wypierania jakichkolwiek faktów dotyczących korporacyjnych nadużyć, bezwzględnego dążenia do zaspokajania interesów własnych, przemysłowych zniszczeń środowiska oraz globalnych nierówności, które wymknęły się spod kontroli”.

Kiedy pada pytanie, dlaczego właściwie mamy godzić się na świat, w którym kilkadziesiąt osób ma większy majątek od biedniejszej połowy ludzkości, to kapłani wolnego rynku mają nie lada problem z udzieleniem sensownej odpowiedzi. Na początku próbują przekonywać, że to kwestia pracowitości, ale szybko zdają sobie sprawę z tego, jakim absurdem jest stwierdzenie, że kilkadziesiąt osób pracuje więcej niż kilka miliardów ludzi. Więc przerzucają się na argument z produktywności, ale on też jest nieprzekonujący, bo nie tłumaczy, czemu jeszcze kilkadziesiąt lat temu prezes w USA zarabiał 30 razy więcej od przeciętnego pracownika, a tuż przed kryzysem finansowym z 2008 roku prawie 400 razy więcej. Ostatecznie więc wyznawca kultu miliarderów jest zmuszony stwierdzić „Rynek tak zdecydował”. Ale taka odpowiedź ma dokładnie taką samą wartość, jak próba przekonania ludzi, że muszą godzić się na rządy monarchy, bo „Bóg tak zdecydował”. To tylko wybieg, który służy do zachowania dotychczasowych struktur władzy.

Właśnie dlatego ten kapitalistyczny zabobon jest niebezpieczny. Jako członkowie demokratycznych społeczeństw mamy pełne prawo dociekać, czy tak ogromna przepaść między najbogatszymi a całą resztą jest uzasadniona i czy powinniśmy się na nią godzić. W pełni zasadne jest pytanie, które tak bardzo godzi w uczucia religijne sporej części osób: „Czy w ogóle ktokolwiek powinien być miliarderem?”. Andrew Sayer słusznie pisze, że po prostu nie stać nas na takie fanaberie

jak krezusi, którzy zgarniają lwią część globalnego majątku. W dodatku mają ogromną władzę, bo stać ich na własne media, na lobbying, na reklamę, na najlepszych prawników. Jak zauważył George Monbiot, w czasach kryzysu klimatycznego ludzie kierujący największymi firmami paliwowymi dosłownie decydują o przyszłości całej ludzkości. Choć nie wygrali żadnego powszechnego głosowania, które dawałoby im prawo do takiej władzy. Każda próba ucięcia tej dyskusji za pomocą zakłęcia o rynku i wybitnych biznesmenach jest gestem antydemokratycznym i tak należy go nazywać. Oczywiście, zakładając, że traktujemy demokrację na poważnie, a nie jako fajne hasło do skandowania na manifestacjach.

Autorstwo: Tomasz Markiewka

Źródło: NowyObywatel.pl